NUMER 2. LWÓW, DNIA 1. LUTEGO 1904. ROK I.

# PROMYK

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

## Powstanie styczniowe.

W styczniu przypada rocznica powstania 1863 roku. Przez srogich i ciężkich lat 90 znosiła ludność polska pod zaborem rosyjskim niewolę. Rząd rosyjski gnębił i krępował wszystko co było polskiem, nie wolno było mówić po polsku, w szkole, na ulicy, w urzędzie; nie wolno było pisać i śpiewać pieśni o tem, że Polacy dążą do odzyskania wolności. Prócz tego chciał także rząd zgnieść w pobitym przez siebie narodzie wszelki żywioł szlachetny. Myśl szlachetną prześladowano tak samo, jak myśl o wolnej Polsce.

Chłopi i żydzi nie byli uważani pod owe czasy za wolnych obywateli, byli oni wyjęci z pod tych praw, jakie przysługiwały reszcie ludności tj szlachcie, mieszczaństwu i duchowieństwu. Jasném jest, że szlachetni ludzie w Polsce odczuwali bardzo dotkliwie tę krzywdę bliźnich i rodaków swoich. Zupełnie tak samo jak marzyli o oswobodzeniu Polski, tak samo marzyli o oswobodzeniu wszystkich ludzi w Polsce i postanowili, że gdy Polska wolność odzyska, nada wszystkim obywatelom równe prawa.

Rosya tłumiła tę myśl o równouprawnieniu tak jak myśl o wolnej Polsce. Nie pozwalała, ani głośno jej wypowiadać, ani krzewić między ludem.

Polacy próbowali oczywiście spełnić dążenia swoje bez przelewu krwi, drogą tak zwaną „pokojową“. Ludność wychodziła tłumami na ulice i śpiewając pieśni patryotyczne lub wolnościowe, okazywała Rosyi, że ten tłum, ta masa obywateli domaga się wolności. Rząd rosyjski nie dbał oto, by poddani jego mieli się dobrze, dbał o to jedynie, by go ślepo słuchano i by się go bano. To też na pokojowe demonstracye ludu odpowiadał wysłaniem wojska, strzelaniem w tłum bezbronny. Napad taki przedstawia nasza rycina.



Oto jak p. Marya Wysłouchowa opisuje jeden z napadów żołdaków moskiewskich na tłum uliczny. W książeczce p. t. „Za wolność i lud“.

„Rozpoczęła się rzeź bezbronnych... Pijane wojsko strzelało, rąbało pałaszami, roztrzaskiwało głowy rannych o kamienie. Lud w pogardzie śmierci, nie bronił się. Dzieci nawet konały mężnie z okrzykiem: „Niech żyje Polska!“ Wtedy to — w dzień ów męki — oficer rosyjski, Potapów, złamał szpadę i cisnął ją ze wzgardą w twarz swoim zwierznikom; — wtedy żyd Landy pochwycił krzyż, wymykający się z porąbanych rąk kapłana i wzniósł wysoko znak męki nad umęczonymi; — wtedy krew niewinna zbluzgała hojnie ziemię wiosenną, co bujnych łaknie ros, aby bujny wydać plon; — wtedy padło z naszej strony 500 trupów...“



BÓJ.

Ideał powstania i zrzucenia gniotącego jarzma wobec takich czynów Rosyi oczywiście coraz silniej, coraz goręcej płonął w piersiach Polaków. Rząd rosyjski przemyśliwał tylko nad tem, jakby stłumić w narodzie polskim wzrastającą ciągle tęsknotę do swobody. Wymyślił sposób straszny. Ponieważ młodzież najgorliwiej szerzyła hasła swobody, powołano równocześnie do wojska wszystkich najzdolniejszych i najzapaleńszych młodzieńców. Przeznaczono ich do tych pułków, które stały na odległych granicach Rosyi. Młodzież polska zrozumiała, że car chce ją z kraju wyrwać, że to zamach nie na nią tylko, ale na kraj cały. Zawrzała więc oburzeniem, uciekła w lasy i tam połączyła się w oddziały, aby bronić się przed Moskwą (rycina nasza przedstawia bój w lasach).

Było to jawnem powstaniem przeciw Rosyi. Patryotyczny, tajny Komitet Centralny warszawski nazwał się wówczas Rządem Narodowym. Posłał walczącym w lasy broń i dowódców i wydał odezwę wzywającą naród do broni. I naród usłuchał. Powstanie trwało osiemnaście miesięcy, bywały czasy, że 35 tysięcy ludzi miało ono pod bronią. Cały kraj, ziemia krakowska i sandomierska, podlasie i lubelskie, Kurpie, Litwini i Żmudzini, wszystko za broń chwyciło i walczyło z bohaterstwem i zaparciem się siebie niezrównanem. Myśl o tem, że Polska i lud wolnymi być mogą, była każdemu droższą nad życie i dla tej myśli składano własne życie w ofierze. Każda wygrana bitwa napełniała naród zapałem i szczęściem i żadna przegrana nie złamała ducha. A przegrane były pewne zgrozy. Rosya uchwyciwszy ofiarę przemocy swojej pastwiła się nad nią. Najdzielniejszych dowodców naszych, ludzi o wielkiej duszy i wielkiem bohaterstwie wieszali Moskale na szubienicach.



POCHÓD NA SYBIR.

Po ośmnastu miesiącach bohaterskiej walki, po utracie najdzielniejszych wodzów, wyczerpały

się nasze siły wojenne, coraz częstsze były zwycięstwa Moskali, coraz straszniejsze ich znęcania się nad zwyciężonemi, coraz częstsze pochody na Sybir, takie jakie przedstawia rycina.

Choć upadło powstanie jemu lud wiejski w Królestwie zawdzięcza zniesienie pańszczyzny i uznanie w chłopach wolnych obywateli kraju równych w obec prawa mieszczanom i szlachcie. Tego rozporządzenia powstańczego Rządu Narodowego car nie śmiał cofnąć, w obawie przez rewolucyę ludową.

# Historya książki szkolnej.

*podług Ellen Key.*

Wiosenne słońce oświetlało jasno pracownię profesora. Zazierało do każdego kąta i wciskało się nawet do ogromnych szaf napełnionych książkami. Wszędzie do koła panowała radość z powodu dawno niewidzianego gościa, tylko w jednej szafie spokój i wesele zamąciła mała sprzeczka. Kilka nowych, wspaniale oprawnych tomów z pogardą patrzyło na starą, zniszczoną i niezbyt czystą książkę szkolną. Już od dawna trapiła je myśl, że profesor znacznie częściej zbliżał się do tej potarganej książki niż do nich. Nietylko to, ale patrzał na nią wzrokiem pełnym miłości, podczas gdy im dostawało się tylko obojętne i przelotne spojrzenie. Nowe książki zaczęły się odsuwać od swej potarganej towarzyszki, wskutek tego potrącały inne i na całej półce powstało zamieszanie. Stara książka, widząc co się święci, odezwała się w te słowa:

— Żal mi, że wzbudziłam w was tyle przykrych uczuć i myśli. Sądzę jednak, że postępowanie wasze wypływa raczej z nieświadomości niż ze złej woli. Pozwólcie mi zatem, abym wam opowiedziała koleje swojego życia, a wówczas będziecie pewno wyrozumialsze dla mnie, a może też mnie polubicie.

Książki zrazu słuchały niechętnie, potem z coraz większą ciekawością, aż wreszcie zupełnie zapomniały o gniewie. A stara książka szkolna mówiła co następuje:

— Nie będę wam opowiadała o tem, jak powstał papier moich kartek, co się działo ze mną w drukarni i u introligatora. Jest to przeszłość wspólna nam wszystkim i zbyt dobrze wam znana. Zacznę historyę mojego życia od dnia, w którym jako „Podręcznik botaniki“ znalazłam się za oknem księgarni. Byłam uradowana swojem nowem życiem, pałałam chęcią poznania wszystkiego, co się do koła mnie działo, a dobre nadzieje na przyszłość nie opuszczały mnie ani na chwilę. Nie długo trwała niepewność co do mego przyszłego losu. Do sklepu wszedł wesoły, jasnowłosy chłopak, zażądał botaniki dla niższych klas i z radością znalazłam się w jego ręku.

Wkrótce potem zauważyłam, że jestem na wsi. Poznałam to po zapachu powietrza, przesiąkniętego wonią łąk i kwiatów polnych. Łąki te widziałam przez okno izby szkolnej, gdzie mój młody właściciel pobierał pierwszą lekcyę botaniki. Nauka szła mu doskonale. Łatwo pamiętał nazwy znanych mu roślin i zachwycał się rycinami. Gdy wrócił ze szkoły pokazywał mnie z dumą każdemu z osobna, nie ominąwszy nawet wielkiego, kudłatego psa, a w nocy położył pod poduszkę, aby lepiej zapamiętać zadaną lekcyę. Na drugi dzień przyzwyczaił się już do mnie i mniejszą już mu sprawiałam radość. A gdy potem trzeba było pamiętać pręciki, słupki, podziały roślin itp. rzeczy, przestał mnie wogóle lubić. „Nudna, nieznośna botanika“ wołał raz po raz, gdy się miał wyuczać zadanej lekcyi. Smuciło mnie to bardzo, bo lubiłam chłopczyka i chciałam działać na jego pożytek wedle sił i możności. Zamiast tego leżałam nieraz całemi dniami za szafą lub pod łóżkiem, a podczas wycieczek botanicznych leżałam w lesie wśród borówek lub malin, które mój mały właściciel z zapałem zajadał. Taki tryb życia bardzo źle wpływał też na mój wygląd. Niedawno jeszcze nowa i jaśniejąca, miałam już na sobie widoczne ślady zniszczenia. Pewnego razu podczas wycieczki botanicznej wpadłam do wody, a gdy mnie nauczyciel wyratował, odczułam raczej żal niż radość.

Nie odczuwałam już radości i nadziei na przyszłość. Znużona byłam bezcelowym trybem życia i przygnębiona mnogością łez, które przelewał nademną mój wesoły zazwyczaj właściciel.

Nagle zmieniło się wszystko. Chłopczyk miał przerwać naukę i poświęcić się zawodowi marynarza. Gdy się o tem dowiedział, podrzucił mnie z radości w górę zawołał: „Bądź zdrowa stara nudziarko! Szczęście, że już nie mam potrzeby oglądania ciebie, a teraz żegnaj mi!...“

Wyleciałam oknem, kartki moje rozsypały się na wszystkie strony, tak że mały ogrodniczek tylko, który mnie podjął z trudem mógł znowu przyprowadzić do porządku.

— Widzę, że oczy ci się świecą do tej starej książki, jakby do ciastka — rzekł mój właściciel do małego ogrodniczka, bo widział przez okno jak skwapliwie malec kartki zbierał. — Jeżeli ci to taką przyjemność sprawia, zatrzymaj ją sobie a ja ci jeszcze parę innych rzucę.—I wyrzucał jedną książkę za drugą, a ogrodniczek wszystkie troskliwie zbierał i zaniósł do swojego biednego mieszkanka. Niósł nas w rękach z taką miłością jak się nosi istoty ukochane i żywe, tak jak nieraz potem widywałem, że nosił swoje młodsze rodzeństwo. Późnym wieczorem po dzienne

robocie rozłożył nas wszystkie dokoła siebie i z rozjaśnioną twarzą zatrzymywał się długo nad każdą kartką.

Odtąd rozpoczęło się dla mnie zupełnie nowe życie. Chłopak pałał ogromną chęcią wiedzy, a szczególnie umiłowaną nauką była mu właśnie botanika. Lecz bardzo rzadko tylko mógł dorwać się książki, bo przez cały dzień pracował ciężko. Wieczorami dopiero, w zimie przy odblasku palącego się pod kuchnią ognia, a w lecie o szarej godzinie, mógł choć trochę zająć się tem co go najwięcej pociągało. Najprzyjemniejszemi dla niego chwilami bywały niedzielne popołudnia, szczególnie w lecie. Wówczas szliśmy w las, w ustronne miejsca pełne mchu i paproci, gdzie szumiały poważne świerki i słodkie unosiły się wonie. Albo też podążaliśmy nad brzeg jeziora, gdzie chłopak najchętniej kładł się na ziemię, bo miał obok siebie bogatą roślinność łąki, a u stóp błękitne, szumiące fale. Wówczas już nie padały na mnie, łzy złości i niecierpliwości, ale wszystkie kwiaty lasu, łąki i wybrzeża rozkładane bywały naprzemian na moich kartkach. Gdy widziałam starania mego właściciela, aby żywe twory przyrody podciągnąć pod działy ustanowione przez uczonych, gdy przekonałam się, że na treść moją złożyły się badania wielu myślicieli, nabrałam wielkiego szacunku dla siebie. Taki sam szacunek miał też i dla mnie mój młody właściciel, a nadto także tkliwą czułość, jak wobec istoty żywej.

Minęło kilka lat. Było to jednej niedzieli po południu. Promienie słoneczne paliły ziemię swym żarem tak, że komary nawet nie miały sił do wiecznego tańca w kółko pod olchami nad jeziorem, gdzieśmy się rozłożyli obozem wedle swego zwyczaju. Tutaj niespodzianie odnalazł nas proboszcz wioski i prosił aby go przewieźć na drugi brzeg jeziora. Chłopak przygotował łódkę, a gdy wsiadał, wziął mnie naturalnie ze sobą. To zwróciło uwagę proboszcza, który zdziwiony zapytał co to za książka. Gdy mój właściciel pokazał mnie i opowiedział skąd mnie dostał, proboszcz zaczął go wypytywać o najrozmaitsze rzeczy i był ogromnie zdziwiony jego trafnemi odpowiedziami. Przez długą chwilę pogrążył się w głębokiej zadumie, a potem przemówił słowami, które mnie przejęły dreszczem radości: „Ty musisz koniecznie pójść na studya, a ja postaram ci się być pomocnym“.

Tego wieczora łzy radości po raz pierwszy spłynęły na moje zniszczone kartki, a chłopak mnie tak mocno przycisnął do piersi, iż czułam bicie jego serca, które rozgrzało mnie i przejęło do głębi: „To tyś wszystko uczyniła!“ szepnął z wdzięcznością, choć ja inaczej myślałam o tem. Przez cały czas nauki szkolnej towarzyszyłam memu przyjacielowi i byłam szczęśliwą pomimo, że nie mógł się ciągle mną zajmować, bo miał teraz bardzo wiele innych książek. Wśród nauki czas mijał prędko i ledwie opamiętaliśmy się gdy właściciel mój ukończył gimnazyum i wstąpił na uniwersytet.

Teraz musiał już sam zarabiać na siebie i to znaczyło, że całe dni trawił na nauczaniu innych a noce spędzał nad książką kładąc się spać tylko przymusowo wówczas, gdy mu wychodziła nafta i nie miał jej za co kupić. Czasami pokazywał się na ulicy tylko o zmroku z powodu braku porządnego ubrania, a jadał często tylko raz na dzień; w zimie marzł w źle opalonym pokoju i dlatego nieraz widywałam jak opuszczała go otucha i wiara w lepszą przyszłość. Może to myśl nierozumna, ale zdawało mi się wówczas, że niektóre nieśmiertelne czyny wojenne maleją wobec takiego cichego bohaterstwa, wobec tych długoletnich usiłowań, aby wniknąć w tajniki przyrody i przedstawić je ludziom na pożytek. Jakże cierpiałam wówczas z młodzieńcem, cierpiałam stokroć bardziej, bo mu nic pomódz nie mogłam. Znał mnie już wtedy tak dobrze jak ja znam sama siebie. Porównywałam z goryczą los bogatych próżniaków, pędzących wygodne życie i przyszłam do przekonania, że na świecie nie wszystko jest tak jak należy. Jeszcze raz jednak los pozwolił mi przysłużyć się memu drogiemu przyjacielowi. Profesor botaniki sam przyszedł raz do nędznego mieszkania studenckiego, bo chciał się porozumieć w sprawie lekcyi dla swoich synów. Ponieważ młodzieńca nie było w domu, profesor chciał odejść, zobaczył mnie jednak rozłożoną na stole i zainteresowany zatrzymał się nad przypiskami poczynionymi ręką mego właściciela. Gdy ten właśnie wszedł zaczął profesor go wypytywać, czy on pisał te uwagi, gdyż są to spostrzeżenia bardzo ważne i nowe. Obiecał też postarać się o zajęcie bardziej odpowiadające zdolnościom młodzieńca, niż całodzienne bieganie za lekcyami.

Po kilku latach mój przyjaciel został doktorem, a jeszcze w kilka lat później młoda żona nowo mianowanego profesora umieściła mnie na honorowem miejscu, na którem się jeszcze teraz znajduję.

Wy moi przyjaciele nie mogliście oczywiście wiedzieć skąd mi się tyle zaszczytu dostało w udziele. Teraz jednak gdy mię już dobrze znacie, będziecie z pewnością mieli wyrozumiałość dla mojej starości i brzydoty. Nie będziecie zazdrościli mi czułych spojrzeń, którymi obdarza mnie żona profesora, ilekroć porządkuje bibliotekę, ani też gdy pokazuje mnie zdumionym malcom i nazywa „najlepszym przyjacielem“ ich ojca. Najmniej jednak będziecie chyba czuli zawiści gdy mój właściciel bierze mnie do ręki, nie poto aby czytać to co we mnie napisane, ale to co znajduje między mymi wierszami. Powiada, że teraz uczę go większych mądrości niż kiedykolwiek, że uczę go — przypominać sobie; przypominać sobie w ten sposób, że wspomnienia własnych walk nie czynią go zarozumiałym, ani nie straszy go przyszłość, choćby się najbardziej

ciemno zapowiadała; przypominać sobie w ten sposób, by w nieszczęściu nie tracić nadziei, a w szczęściu nie zapominać wdzięczności.

— — — — — — — — — — —

Stara książka umilkła. Słuchacze nieświadomie coraz bliżej garnęli się do wzgardzonego przed chwilą sąsiada i szeptały szczerze: „Dziękujemy ci — i przebacz“.

Wszystko się więc uspokoiło, a ludzie którzy wkrótce zabrali się do swoich zajęć, nawet nie przeczuwali, że w tym samym pokoju rozegrała się dziś walka i odniesione zostało zwycięztwo.

## Tadeusz Kościuszko.



Polska miała bardzo wielu dzielnych bohaterów i sławnych mężów, którzy wiedzę swą lub życie poświęcali dla ojczyzny. Żadnego jednak tak bardzo nie ukochaliśmy wszyscy, jak właśnie Tadeusza Kościuszkę. Dlaczego z pomiędzy wielkich i sławnych Polaków, Kościuszko jest najbliższym sercu naszemu? Aby módz odpowiedzieć na to pytanie, trzeba najpierw poznać dobrze życie i czyny Kościuszki, a także przypomnieć sobie to wszystko, co się wtedy w Polsce działo.

Tadeusz Kościuszko już jako młody chłopak uczuł w sobie gorącą chęć pracy dla kraju. Z książek łacińskich, które czytywał w kolegium jezuickiem w Brześcu, na Litwie, poznał bohaterskie czyny starożytnych Rzymian, ich odwagę w boju i łatwość poświęcania własnej osoby i własnego szczęścia dla dobra ojczyzny. Kościuszko marzył o tych bohaterach dniem i nocą, a także o tem, by dać kiedyś swojemu krajowi takie same dowody miłości, poświęcenia i odwagi. Jeszcze bardziej spotęgowały się w nim te szlachetne uczucia podczas pobytu w wyższej szkole t. zw. Korpusie Kadetów w Warszawie, gdzie kształcił się na oficera. W szkole tej, zwracano uwagę nietylko na naukę, ale starano się wszczepić w młodzież to przekonanie, że wykształcenie jest tylko przygotowaniem do pracy dla dobra i pożytku innych ludzi, dla kraju całego. Aby tem skuteczniej módz potem służyć ojczyźnie wyjechał Kościuszko na dalszą naukę do Francyi i wrócił po kilku latach do kraju jako wykształcony inżynier wojskowy.

Były to wówczas bardzo smutne czasy dla kraju. Gdy Rosya, Prusy i Austrya dokonały pierwszego rozbioru Polski 1772 r.) cały naród popadł w rozpacz, beznadziejność i obojętność na wszystko. Nie było w tem nic dziwnego. Wielkie nieszczęścia działają w ten sposób. Jeśli się nieraz zdarzy, że człowiek straci ukochaną osobę, ojca, brata lub serdecznego przyjaciela, to wówczas zdaje mu się, że bez niego nie ma poco żyć na świecie; ręce mu opadają i ogarnia go beznadziejność i niechęć do wszystkiego. A Polacy wtedy stracili nietylko wielką część kraju (dzisiejsza Galicya dostała się wówczas pod panowanie austryackie), lecz także tysiące braci swoich, którzy poszli pod obcy, wrogi dla nich rząd. Dlatego też na razie opuściły ich wszelkie lepsze nadzieje na przyszłość i dlatego nie chwycili za broń, aby na polu bitwy pomścić wyrządzone im krzywdy.

W tych czasach ogólnego zniechęcenia, Kościuszko nie mogąc bić się dla ojczyzny, zwrócił się w inną stronę, gdzie właśnie w imię wolności toczono wielki bój. Za morzem, w Ameryce północnej ludność, żyjąca dotychczas pod panowaniem angielskiem, była z tych rządów bardzo niezadowolona. Postanowiła tedy uwolnić się od panowania angielskiego, zdobyć sobie zupełną niezależność i żyć w swobodzie według własnych praw, niesłuchając obcych nakazów.

Do Ameryki spieszyli na pomoc wszyscy ludzie, dla których sprawa wolności była jakby ich własną sprawą. Takim też był Kościuszko. Choć Ameryka leżała za morzem, a mieszkańców jej nie znał wcale, to jednak Kościuszko wiedział, że oni walczą o rzecz najdroższą każdemu człowiekowi, o wolność, swobodę i niezależność i dlatego zaciągnął się w szeregi armii amerykańskiej.

Kościuszko walczył w Ameryce przez siedm lat i wsławił się szczególnie przy budowaniu szańców i fortec, w czem jako inżynier przedewszystkiem celował. Amerykanie polubili go też niezmiernie, nietylko za jego odwagę w boju, ale także jako człowieka nadzwyczaj skromnego i pełnego słodyczy. Wszystko cokolwiek robił, uważał jako wypełnienie obowiązku, w czem nie widział powodu do przechwałek lub do wywyższania się ponad innych. Był dobrym i uczynnym dla wszystkich ludzi, bez względu na ich stanowisko lub pochodzenie. Otaczał swoją opieką nawet tych Anglików, których wojska amerykańskie wzięły w niewolę i dzielił się z nimi swoją skromną pensyą. Uważał bowiem, że wszyscy ludzie są braćmi, więc choć prowadzono wojnę przeciwko angielskiemu uciskowi, to jednak nie miano żadnego powodu do nienawiści wobec każdego Anglika z osobna.

Amerykanie umieli ocenić wielkie zasługi Kościuszki i dlatego mianowali go generałem obdarzyli majątkiem ziemskim i ozdobili dzielną pierś jego najwyższym orderem, którym rozporządzali. (D. c. n.)

# Żar ziemi.

Czy nie dziwiło Was nigdy, że chociaż w zimie zamarzają rzeki i stawy, i jeziora i sadzawki, to źródła nie zamarzają nigdy? Skąd się biorą źródła? Pod ziemią gromadzi się woda? Tworzy tam podziemne rzeki i stawy zasilane wodą deszczową, która przez ziemię przesiąka. Od miejsca do miejsca toruje sobie ta woda drogę szczelinami w ziemi i wypływa na wierzch — to źródło.

Jeżeli źródła nie zamarzają, to i woda pod ziemią nigdy nie zamarza?

Pewnie że nie. W głębi kilku już metrów pod ziemią, nie czuje się już zmiany temperatury. Czy zima czy lato, słota czy pogoda — zawsze tam jednakowo ciemno i chłodno. Zejdźmy niżej, nie na kilka lub kilkadziesiąt, ale na kilkaset tysięcy metrów w głąb ziemi — choć dotąd żaden górnik tak daleko nie dotarł — jakoś cieplej się być zdaje! Zstąpmy niżej jeszcze — coraz cieplej i cieplej.

Im dalej tem goręcej — żar nie do wytrzymania, jak w kuźni. — Zbliżamy się do wielkiej kuźni natury. Ziemia rozpływa się, kamienie miękną i rozpływają się — wszystko wre, wszystko kipi — powstaje jedna wielka ognista i płynna masa, przerażająca swoim ogromem, swoim żarem i siłą.

Fale ogniste to spokojnie płyną, to miotają się o opokę stwardniałej skorupy ziemskiej. Niekiedy rozbijają ją, rozłupują — a wtedy ognista fala wpada w tę szczelinę i pnie się w niej coraz wyżej i wyżej. Często ustaje w połowie drogi swojej, jakby jej sił brakło do dalszego pochodu, ale nieraz, aż do powierzchni ziemi dociera i tu rozpływa się po łąkach i polach, paląc wszystko swym żarem, szerząc pożogę i spustoszenie... To lawa a miejsce z którego wypływa – to wulkan.

Dziwnie groźnie wygląda taki wulkan. Wyobraźcie sobie górę stożkowego kształtu — a u góry stożek ten ścięty. Wejdźmy na szczyt — przed nami otwiera się otchłań ogromna, bezdenna — to krater, przepaść jak lejek wyglądająca. Z jej głębi bucha lawa, dym i popiół rozżarzony — cały deszcz ognisty, który wybuchowi lawy zwykle towarzyszy.

Lawa jest tak gorąca, że kawałek żelaza w mgnieniu oka się w niej roztopi.

Słyszeliście zapewne o strasznem nieszczęściu, które przed trzema laty niespełna, nawiedziło mieszkańców francuskiej wyspy w Ameryce, Martiniki. — Tam wybuchł właśnie wulkan ogromny i najniespodzianiej wświecie, zniszczył plony i dobytek całej ludności. Kilka godzin wystarczyło, by najzamożniejszy człowiek stał się nędzarzem — szczęśliwy, jeżeli uszedł z życiem z tej walki rozhukanych żywiołów.

Za czasów rzymskich, podobny wybuch wulkanu Wezuwiusza zasypał dawne miasto Herkulanum i Pompeę. Częściej zdarzały się mniejsze wybuchy wulkaniczne, które zalewały lawą najbliżej położone pola i nie wyrządzały tak ogromnego zniszczenia i szkody.

Myślicie, że przez otwór krateru możnaby zajrzeć w głąb ziemi? Wydawałoby się to tak prostem — wchodzi się na szczyt wulkanu, staje się nad jego brzegiem i patrzy do środka. Prawda? Rozumie się, że jak długo wulkan wybucha, nie można się zbliżyć do niego. Ucichł wreszcie, już się lawa nie leje, już popiół się nie sypie. Stajemy na szczycie – a tu przed nami zamiast otwartej, olbrzymiej dziury, którą zaglądnąć chcemy w głąb ziemi, tylko smutna, posępna, czarna przepaść krateru! Kanał, którym lawa podchodziła zamknął się. Po części zatkała go lawa, która pod koniec wybuchu nie doszedłszy do powierzchni ziemi, zgęstniała i zastygła we wnętrzu kanału. Po części zawaliły go kamienie i skały, staczające się z krateru i przesypał go popiół. Gdy nowy wybuch nadejdzie, nowa, świeża, ognista lawa wyprze i wyrzuci kraterem tę zaporę.

Taki wulkan, który od czasu do czasu wybucha, nazywa się wulkanem czynnym. W Europie mamy dwa wielkie czynne wulkany Wezuwiusz we Włoszech i Etna na Sycylii. Obydwa, jak wszystkie wulkany położone są niedaleko brzegu morza.

Dawniej, gdy skorupa ziemi była cieńszą, o wiele częściej wybuchały na niej wulkany. A mówię o czasach przedhistorycznych, na kilka milionów, może na kilka miliardów lat temu, o epoce tak dawnej, że wyobrazić sobie nawet nie umiemy kiedy to się działo. Jeszcze dawniej temu nie było wcale wulkanów, bo nie istniała wcale skorupa ziemska. Cała ziemia, tak jak dzisiaj jej wnętrze — była jedną ognisto-płynną masą.

Wulkany dawniejsze spotykamy dziś jeszcze, ale są one już wygasłe, to znaczy, że nigdy już nie wybuchają. Dawniej i one były położone, nad brzegiem morza ale morze to — cofnęło się, lądy zmieniły swe kształty, jedne zanurzyły się pod wodę, drugie wyłoniły się z pod fal. Bo w przyrodzie widzimy przemianę ciągłą, choć powolną i na pozór nieznaczną. Z roku na rok, z wieku na wiek jest ona nieuchwytną — olbrzymią jednak w ciągu milionów lat.

Na przemiany te patrzą starodawne, wystygłe wulkany, które spotykamy wśród wszystkich prawie gór ziemi. I w Tatrach znajdują się takie zabytki starodawnej przeszłości ziemi naszej, a Morskie Oko jest niczem innem, jak wodą nagromadzoną w kraterze dawniej czynnego wulkanu.

*E. B. L.*

# Sen czy jawa?

napisała Tuberosa.

## AKT I.

### SCENA I.

(Ogród oświetlony lampionami. Wieczór.)

(Irena wchodzi).

**Irena** (ubrana w białą suknię powłóczystą, w koronie na głowie, w purpurowym płaszczu, z berłem). Ha ha ha! Doskonale jestem ubrana! Z pewnością mnie nie poznają! (Siada na zrębie drzewa, ubranym w kwiaty, niby na tronie).

### SCENA II.

Irena, Jadzia, Klara i Zosia.

(Jadzia, Klara i Zosia wchodzą jedna za drugą, ubrane fantastycznie, w rękach różdżki z kwiatów. Nie widzą początkowo siedzącej w kącie, na tronie, Ireny).

**Klara:**

Więc jesteśmy z bajki wróżki
Znamy wszystkie leśne dróżki
Jaki tutaj spokój święty... (Ogląda się).

**Jadzia** (idąca za nią):

Ogród cały jak zaklęty,
Wszystko jak w bajki krainie
Gdzie życie wśród czarów płynie.
(Zakrywając ręką oczy).
Światła lśnią, aż rażą oczy,
Cały ten obraz uroczy,
Sprawia pokój, radość duszy.
Wietrzyk lekko drzewem ruszy...

**Zosia:**

Cicho... jakby posiał makiem...

**Klara** (staje — rozmarzona — patrząc do góry):

Ach! Chciałabym być ptakiem...
By przelecieć wszystkie światy
Zaczarować drzewa — kwiaty...
Żyć wśród śmiechu i wesoło
I rozsiewać czary w koło...

(Podczas tego Jadzia spostrzega Irenę; patrzy przez chwilę zdumiona, nieznacznie skinie na Zosię. Obie stoją chwilę bez słowa, wpatrzone w królewnę.)

**Jadzia** (ocknęła się, chwyta za ramię Klarę, przyciąga ją):

Patrz... patrz... widzisz? cud!

**Klara** (cicho):

Siedzi taka blada — cicha...
Tylko czasem smutno wzdycha...
(Irena powoli podnosi się).

**Zosia:**

Wstaje... niby jaki cień...
To doprawdy czarów dzień!

**Irena** (chodzi powoli, z głową spuszczoną, smutno mówi):

Oto ja jestem zaklętą królewną...
Wspomnienia moje, są piosenką rzewną.
Wydarta ojcu już w wczesnej młodości,
Z powodu strasznej czarownicy złości,
Siedzę tu sama w zaklętym ogrodzie,
I żyję tylko o chlebie i wodzie,
Zdala od świata. (Gwałtownie.) Berło mi [wydarła
Wzięła mi władzę — z domu wyparła
A ja tu biedna chodzę i płaczę (płacze).
(Po chwili).
Nie cieszą mnie ni kwiaty... ni drzewa,
Ani ten ptaszek, co w gaju śpiewa...
I łez — i żalu pełne moje życie!
I nikt też nie wie, gdzie moje ukrycie
I gdzie mnie szukać mają.
(Ukrywszy twarz w dłoniach chodzi smutna.)

**Jadzia:**

To złudzenie? sen? czy jawa?
Tak na bajkę coś zakrawa!
Żywa tu przed nami staje
Królewna — o której we śnie
Ledwie marzyć śmiałam wcześnie...

**Zosia:**

Czarownica ją wygnała!
Dawniej berło w ręku miała,
Dzisiaj biedna, chodzi, płacze
I wiedzie życie tułacze.

**Klara:**

Więc Irena słuszność miała,
Kiedy zawsze przypuszczała,
Że istnieją w świecie czary,
Że to prawda, a nie mary!
Myśmy ją przekonać chciały,
Że bajki zawsze kłamały,
Dziś, widzimy tu dowodnie
One z prawdą idą zgodnie.

**Jadzia:**

Więc Irena słuszność miała...

**Zosia** (ciszej):

Więc Irena słuszność miała...

### SCENA III.

Też same, Tadzio, Ignaś, Bolek.

(Ubrani jako karzełki, mają długie siwe brody, z pochodniami jeden za drugim).

**Tadzio** (pierwszy): Hi hi hi!

**Bolek** (drugi): Ha ha ha!

**Ignaś** (trzeci): Hi, hi, hu, hu, he, he, ho, ho, ha!

(Otaczają Irenę, chwytają tren jej płaszcza).

**Irena** (przestraszona): Kto to? (stoi przerażona).

**Jadzia, Klara i Zosia:** Kto to?

**Tadzio, Ignaś i Bolek:** Ha ha ha!..

**Jadzia:**

Czy to pazie są królewny,
Co korowód wiodą śpiewny?

**Klara:**

Czy chochliki to zaklęte
Wraz z swą panią tutaj wzięte?

**Zosia:**
Czy to może krasnoludki,
Co zajmują skryte budki?

**Klara:**
Co to? kto to? ja się boję!!!

**Jadzia:**
Et co też tam, kto tu stoi!
Kiedy bajka, w bajkę wejdźmy,
I w świat marzeń całkiem przejdźmy.
Bawmy się — tańczmy wesoło,
Rozsiewajmy czary w koło.
(Wszyscy z wyjątkiem Ireny).
Pędźmy, lećmy w koło — w koło.
(Przez chwilę tańczą).
(Biorą się za ręce wszystkie trzy, splatają różdżki i tańczą).

**Tadzio, Ignaś i Bolek** (odbiegają w bok) po tańcu.

**Tadzio** (do nich): Jak to się skończy?

**Bolek:** Możeby się przyznać?

**Ignaś:** Nie, nie, nie.

(Tańczą podobnie jak dziewczynki, z pochodniami).

**Irena** (przeciera oczy, oparta o drzewo, zdumiona mówi).
Już nic nie wiem! Śnię — czy marzę?
Tutaj widzę stare twarze,
Może wróżki też prawdziwe
Co śpiewają piosnki tkliwe,
Ja też w bajkę włożę duszę!
Zapomnieć o świecie muszę!

(Bierze Jadzię za rękę. Tworzą się pary, tańczą walca Mignon. Podczas tego Ignaś biegnie w koło i gubi brodę).

**Ignaś:** Tadziu! Bolek! Co mi się stało!

**Jadzia:** Ignaś! Ha ha! to to są te chochliki.

**Irena** (Zrywa brodę Bolkowi): Ach! to ty braciszku!

**Klara, Jadzia i Zosia:** Braciszku?

**Klara:** Irena!!!

(Wszyscy się śmieją).

**Irena:** Chciałyście wy mnie zwieść, a jednak, ja was zwiodła!

**Zozia:** Skądżeś ty wiedziała?

**Irena:** Podsłuchałam was.

**Jadzia i Klara:** Jakieśmy nieostrożne.

**Zosia:** A chłopcy?

**Tadzio:** A myśmy podsłuchali was wszystkie cztery i wszystkim wam urządziliśmy niespodziankę.

**Dziewczynki:** Doskonale się udało.

**Jadzia** (biorąc pod ramię Irenę): Pójdź królowo! Siądź pod drzewem.

**Irena:** Chodźcie i wy chochliki.

(Pod drzewem tworzą żywy obraz.)

KONIEC.

# Ciekawy Antek.

Od czasu gdy się opowiadania p. Mateusza zaczęły, czekali Antek i Tomek na niedziele z całkiem innem uczuciem niż dawniej. Byli ciekawi dalszego ciągu, a prócz tego czuli się dojrzalszymi przez to, że zajmują się rzeczą, która tak głęboko w życie ludzkie sięga. W niedzielę o tej samej porze jak poprzedniego tygodnia, bez umówienia się nawet, zeszli się u Antka.

— Tatusiu, przyrzekłeś powiedzieć nam o tem, dlaczego dziś nie wszystko jest wspólną własnością ludzi, tak jak było dawniej.

— Zeszli się już nasi politycy — rzekł p. Mateusz do żony z dobrotliwym uśmiechem. — A teraz malcy moi, wyobraźcie sobie, że żyjemy w tej prastarej gromadzie, w tym wspólnym, gromadnym domu, o którym mówiłem Wam zeszłego razu. Mieszkamy tam wszyscy, ja mama i Kubuś z kołyską jest tam i Marynia pełza na czworakach. Mamy w tym gromadnym domu swoją izbę, ja chodzę na łowy, uprawiam wspólną rolę i t. d. Jeżeli żyjemy wtedy, gdy gromady ludzkie umiały już zrobić ładne ubranie, wygodne sprzęty, to chodzimy w odzieży porządnej i mamy w naszej izbie jakieś meble. Ubrania i sprzęty jednak domowe służą tylko nam, i nie są własnością zbiorową wszystkich. Należą do tej osoby, której służą. Im bardziej ludzkość się rozwija, tem więcej wytwarzać umie rozmaitych sprzętów i przedmiotów, tem większa budzi się u niej potrzeba rzeczy takich, których dawniej nie znano. Wiele rzeczy, które mają służyć albo do osobistego użytku jednego człowieka, albo do użytku jego i jego najbliższej rodziny, staje się jego osobistą, albo jego rodzinną własnością. Z czasem te rzeczy przechodzą dziedzicznie najczęściej na dzieci i wnuków jego. Pola, łąki, lasy i plony ziemi zostają jednak własnością wspólną jeszcze długo po przejściu przedmiotów osobistego użytku na własność prywatną. Nie wyobrażajcie sobie jednak, że stanowiły one wspólną własność całej ludzkości. „Wspólny“ odnosiło się tylko do jednego rodu, do jednej, spokrewnionej ze sobą gromady, zupełnie tak jak wspólnie pracują i posiadają mrówki tylko jednego mrowiska i pszczoły tylko jednego i tego samego ula. Wobec ludzi innego rodu, albo innego szczepu, gromada była usposobiona wprost wrogo, albo też wykluczała ich z pod tych wszystkich praw, jakie przysługiwały członkom gromady. Jestto objaw, który nie tylko zauważyć się daje w społeczeństwach zwierzęcych, ale po dziś dzień w ludzkiem społeczeństwie ciągle go napotykamy: „Obcokrajowiec“ nie ma dzisiaj żadnych praw w państwie i musi dla uzyskania ich postarać się o „obywatelstwo“ tego państwa. Członek innej gminy nie może dostać się do szpitala, domu starców, kalek, ubogich i t. d., które najczęściej tylko jednej gminie przysługują.

W miarę jak gromady stawały się coraz liczniejsze, potrzebowały coraz większego obszaru ziemi dla siebie i skutkiem tego nieraz zawadzali o granice obcej gromady. Prócz tego im bardziej ludzie byli cywilizowani, im więcej znali i potrzebowali przedmiotów, im bardziej poznawali znaczenie i wartość ziemi i roli, tem bardziej obudzała się w nich chęć grabieży i chciwość. Wzrost gromady i obudzenie się tych instynktów wywołało najazdy grabieżne na obce ziemi, walkę z obcem plemieniem i wszelkie walk następstwa. A jak myślicie, jaką najważniejszą, najgłębszą zmianę wojny te za sobą sprowadziły?

— Może poznanie obcych zwyczajów? rzekł Tomek.

— Może utworzenie się rycerstwa? — dorzucił po głębokim namyśle Antek.

— Macie obydwaj racyę, ale nie są to względy, które nas najbardziej obchodzą. W o j n y i w o j e n n e g r a b i e ż e s p r o w a d z i ł y nieznane dawniej n i e w o l n i c t w o. To jest dla nas ważnem, gdyż z niewolnictwem po raz pierwszy wychodzi na jaw silna, wielka niesprawiedliwość, różnica między ludźmi. Już nie posiadanie wspólne, nie równość zupełna rządzi stosunkami ludzkimi, ale różnica niezmierna dzieli ludzi, jakby byli stworzeniami rozmaitych gatunków. Nawet nie pan i sługa stają przeciw sobie, ale p a n i n i e w o l n i k t. j. człowiek, który zupełnie nie ma swobody ani posiadania, ani żadnych praw w społeczeństwie. Oddany jest na łaskę i niełaskę swojego właściciela, który go może kupić lub sprzedać zupełnie jak martwy przedmiot. Już to wskazuje na straszną grozę tych stosunków, że jeden człowiek stał się własnością drugiego, jakby rzecz jaka. Chłopcy słuchali słów tych z głęboką uwagą i zrozumieniem a Antoś zauważył.

— To było gorzej i smutniej niż jest teraz. Teraz jest podział na biednych i bogatych, na właścicieli i robotników, ale to przecież nie niewola.

— A jak to dziwne — rzekł Tomek, że się stosunki tak zmnieniają jakoś same ze siebie. Była równość i wspólne posiadanie i zmieniło się na gorsze samo — właściwie nikogo o to winić nie można.

C. d. n.

## Rozproszone nudy.

Promienie słoneczne całymi strumieniami wciskały się do okazałej, pałacowej sali, lecz nie potrafiły rozweselić, ożywić twarzy obecnych. Począwszy od starego króla, siedzącego przy oknie — królewiczów — wystrojonych dam pałacowych, starszych dworzan w perukach, a skończywszy na służbie, wszyscy byli i smutni i znudzeni.

Takim był król, jakżeż dworzanie mogli być innymi? Wszak oczy wszystkich były skierowane jedynie w stronę, gdzie siedział król. Lekarze nadworni badali go niezliczone razy, zapisywano mu najrozmaitsze lekarstwa, lecz on zniecierpliwiony, znudzony ich bezskutecznością rozkazał usunąć wszystkie lekarstwa.

Nagle obudziły dworzan z tego odrętwienia dźwięki katarynki — najzwyklejszej w świecie katarynki. Rzecz niesłychana, bo skąd mógł się wziąć kataryniarz na podwórzu pałacowem? I zdziwienie i oburzenie zarazem, malowało się na wszystkich twarzach. Powstał popłoch, jedni patrzyli na drugich nie śmiąc przerywać wielkiej ciszy, i nie wiedząc jak właściwie sobie poradzić. Już zbliża się służący do kataryniarza, wtem skinieniem ręki zatrzymuje go król.

Zajęła króla małpa siedząca na katarynce dokazująca i pokazująca się każdemu z dworzan z osobna. Nagle skoczyła z szybkością błyskawicy na ramię króla, zdarła jego białą perukę i włożyła sobie na głowę.

Otoczenie całe przeraziło się, na dworze nie widziano jeszcze nikogo bez peruki, więc sam widok łysiny był czemś osobliwem dla wszystkich. Tem bardziej wystraszeni byli wszyscy, że to spotkało króla. Lecz król nie tracąc chwili czasu, wziął perukę obok stojącego królewicza, wprawdzie za małą, lecz mniejsza o to. Królewicz w jednej chwili chwycił perukę swego sąsiada i włożył ją sobie, i tak jeden drugiemu ściągał perukę z głowy, bo nikt nie chciał pozostać ofiarą, nikt nie chciał stać z odkrytą głową. Młodzi wśród śmiechów i żartów wydzierali peruki starym dworzanom, ci znowu młodym, wskutek czego nie poznawali się wzajemnie, zanosili się wszyscy od szalonego śmiechu — trzęsła się sala cała a na czele wielki król.

Stary marszałek, świadek tych zabaw, stał zawstydzony tem, że małpka lepiej od niego umiała rozweselić króla i dworzan.

## „T“ wzbronione.

*(Gra towarzyska).*

Dalej dzieci do zabawy! zawołał wesoło wujaszek, wymyśliłem nową grę. Grę w pytania i odpowiedzi, ale odpowiadającemu nie wolno użyć litery *t*. Gdy odpowie co na *t*, musi dać fant za karę. Siadajmy w koło. Gdy rzucę komu chustkę, to znak, że towarzysz jego po prawej ręce ma odpowiedzieć na moje pytanie. Potem z kolei on chustę rzuci. Rzucam chustkę Helence i pytam: Ile jest dwa razy dwa?

Zosia, towarzyszka Helenki po prawej ręce odpowiada.

— Pięć mniej jeden.

Zosia rzuca chustkę Franusiowi i rzecze: powiedz mi rym na kąt?

— Sąd — woła pospiesznie Franuś, ale musi dać fant, bo nie on miał odpowiadać tylko Mania, towarzyszka po prawej ręce.

Mania rzuca chustkę do Oldzi: Jak się pisze imię Kościuszki?

Zdziś odpowiada: znak wzbroniony po nim adeusz.

Zdziś rzuca chusteczkę do Zosi: Jak się nazywa miara długości?

Wujaszek odpowiada *me* później znak pisany po *s* a przed *u*, później *er*.

Gromadka długo tak się bawiła. Możeby Czytelnicy „Promyka“ też grę spróbowali?

## Do Czytelników.

Chcąc zadość uczynić życzeniom Czytelników wydajemy 2-gi numer naszego pisma zwiększony o 4 strony, tak samo zwiększony wyjdzie numer następny. Począwszy od drugiego kwartału tj. od kwietnia będzie Promyk wychodził co dwa tygodnie.

Przeznaczamy też nagrodę za trafne rozwiązanie zagadek.

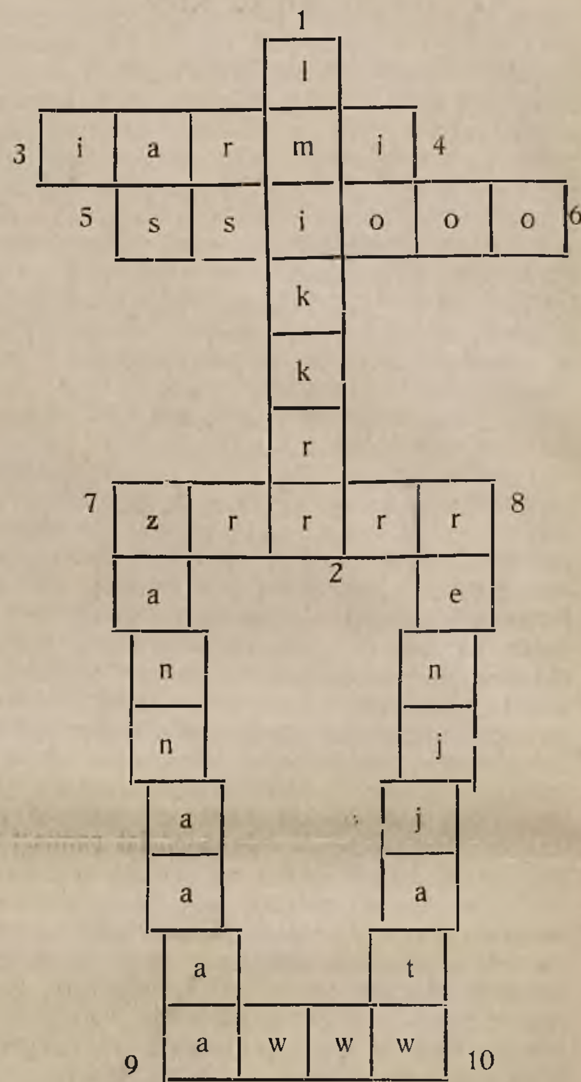
Każdym razem dostanie nagrodę jeden z tych Czytelników, który przyszle nam rozwiązanie zagadki. Ogłaszać też będziemy nazwiska wszystkich Czytelników, którzy nadeszlą trafne rozwiązania. Obecnie przeznaczamy na nagrodę piękną książeczkę Umińskiego, p. t. „Z Warszawy do Ojcowa“, z ilustracyami Bębnowskiego.

### Zagadka.

W powyższe kwadraciki wpisać liczby 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 tak, aby suma ich we wszystkich kierunkach czytana dała liczbę 15.

| | | |
|---|---|---|
| | | |
| | | |
| | | |

### Zagadka liczbowa.




1—2 Gdy wsadzim w doniczkę albo zasiejemy
Codziennie troskliwe podlewać będziemy.
3—4 Purpurą zakwita nam jesienią w lesie,
5—6 To znowu wiosną woń miłą rozniesie,
7—8 To zaś się wdzięczy na polach i łące
Wśród nich się fiołki kryją pachnące,
7—9 Kwitnąć zaczyna już wczesną wiosną
8—10 Te znów w cieplarniach zwyczajnie rosną.
9—10 Gdy po raz pierwszy do nas zawitała
Patrzano nieufnie — teraz spowszechniała.

### Rozwiązanie szarady z Nr. 1-go.

p
nić
masło
pisemko
zamek
oko
o

Trafne rozwiązanie zagadki umieszczonej w 1 numerze „Promyka“ nadesłała Tosia S. ze Lwowa.

## Korespondencya Redakcyi.

*Ludwisiowi M.* List Ludwisia bardzo nas ucieszył. Redakcya pragnie gorąco zaskarbić sobie przyjaźń i zaufanie swoich Czytelników. Pyta Ludwiś dlaczego ziemia okrąża słońce? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w historyi powstania ziemi naszej. Ziemia, księżyc i dużo innych gwiazd, stanowiły niegdyś razem ze słońcem jedną tylko ognisto-płynną masę, jak ta o której Ludwiś w artykule „Żar ziemi" przeczyta. Ognista masa ta nie stała spokojnie, ale kręciła się, czyli wirowała wskutek czego odrywały się od niej mniejsze części. Jedną z tych części jest ziemia nasza. Choć oderwała się ona od słońca, to jednak słońce przyciąga ją, tak jak np. magnes przyciąga żelazo i nie pozwala jej za nadto oddalić się od siebie. Ziemia, choć oderwana od słońca, ciągle zatacza koło w tym samym kierunku jak dawniej z nim razem, dlatego widzimy, że ziemia krąży naokoło słońca. Słońce jest na prawdę kulą, dlatego, że jest płynnem. Każdy płyn wolny, tj. nie zawarty w jakiem naczyniu, którego kształt przybiera, jest kulą. I tak n. p. kropla jest zawsze kulą. Śrut jest kulką, bo robi się go w ten sposób, że z wysokości leje się powoli roztopiony ołów, który spada kroplami i dlatego kulisto zastyga.

Samorząd, jak to nazwa wskazuje, znaczy, że kraj jakiś, gmina itd. ma prawo sama sobą kierować. Tak n. p. Galicya ma samorząd, to znaczy, że kraj cały wybiera posłów na sejm, którzy radzą o potrzebach kraju. Część Polski pod zaborem rosyjskim, nie ma samorządu, tam wysłannik cara wedle własnego upodobania nie wedle potrzeb krajowych, samowolnie rządzi.

# Kącik dla małych dzieci.

## Podarki.

Janeczka i Edzio słyszały, że dzieci, które mieszkały w tej samej kamienicy ale na pierwszem piętrze, dostają na swoje urodziny podarki. Janeczka i Edzio nie dostają podarków, bo mamusia mówi, że nie ma ani pieniędzy, ani czasu na kupienie ich. Tatuś zamiata podwórze, schody i chodnik przed domem, a mamusia gotuje i pierze a czasem uszyje, co dla dzieci.

— Mamusiu — pieszcząc się prosiła Janusia — tak bym chciała dostać coś na urodzinki.

— Dostaniesz — odpowiedział zamiast mamusi wujaszek. Bo była to niedziela i wujaszek miał czas i przyszedł do nich. Wujaszek miał warstat stolarski, dzieci nigdy tego warstatu nie widziały, bo było to dla nich za daleko, tylko im wujaszek, opowiadał że ma tam piłę i młot i gwoździe i hebel i dłutko, bo lubił bardzo opowiadać im i bawić się z niemi.

— Co dostaniemy, co?! — wołały uradowane i rozciekawione dzieci.

— Nie powiem, zobaczycie na urodzinki.

Mamusia powiedziała, że urodzinki będą za tydzień.

— Może laleczkę?

— Może konika?

— Może garnuszki?

— Może piłeczkę? — zgadywały dzieci, ale wujaszek nie powiedział im co przyniesie, bo to miała być niespodzianka.

* * *

Za tydzień były urodzinki Janusi, mamusia usmarzyła sznycelki, i zgotowała dobre kluseczki do obiadu i uszyła dzieciom nowe fartuszki. Dzieci raz po raz wybiegały na bramę i patrzyły kiedy też wujaszek przyjdzie. Wreszcie wszedł wujaszek, a miał w ręku małą drewnianą skrzyneczkę.

— Jest podarek! Jest podarek! wołały dzieci skacząc i klaszcząc w rączki.

— Macie dzieci ten wasz podarek ale, słuchajcie, zabawimy się nim razem. Janusia i Edzio ogromnie byli ciekawi co też jest w pudełeczku, wysunęli wieczko i przewrócili skrzyneczkę na stole dnem do góry.

Wypadł z niej drewniany klocek. Wuj nazwał go kostką.



Skrzynia. Krzesło. Pałac.

Ta kostka miała kreseczki w pośrodku.

— Może ona popsuta? poprzerzynana? — zapytał Edzio.

— Tak poprzerzynana jest umyślnie tędy i tędy. Zrobiłem z niej także klocki, z których możecie sobie budować i ustawiać co tylko zechcecie.

— Brawo! Brawo! taka śliczna zabawka, dziękujemy wujaszkowi bardzo! mamy własne klocki, jak to dobrze! — wołały uradowane dzieci.

— Ja zbuduję domek — zawołał Edzio i łap rączkami za klocki.

— Nie, ja najpierw — ja zrobię krzesełko — prosiła Janusia.

— A bajeczki już dzieci nie chcą wcale, tylko obydwoje muszą mieć odrazu klocki?—zapytał wujaszek.

— I bajeczki i bajeczki też!

— Ja chcę i bajeczki i klocki.— Wujaszek posadził sobie jedno z dzieci na jednem, drugie na drugiem kolanie.

— Teraz będzie bajeczka i budowanie razem. Opowiem wam jak to, było gdy bawiłem tego lata na wsi, u wuja Stanisława. — Mówiąc to wuj zdjął z kostki dwa górne klocki i ustawił je koło dolnych, ścianką do ścianki, a dwa drugie górne na środku poustawiał.

— Widzicie, to niby domek mały, a to dwa, kominy. W takim domku mieszka wuj i jego dzieci Ludwiś i Marynia, a domek stoi w ślicznym ogrodzie.

W tym samym ogrodzie jest pałac z trzema wieżami. Teraz Janusia postawi cztery klocki w rzędzie, na nich w środku dwa, jeden na drugim, to będzie wysoka środkowa wieża, a teraz zrób Jańciu z dwóch pozostałych klocków

małe wieżyczki po bokach. Oto jest niby pałac. Zaraz za parkanem ogrodowym stoi ładny drogowskaz. Postaw Edziu dwa klocki obok siebie, na nich w środku ustaw wysoki słupek z trzech klocków, na słupku połóż dwa klocki nie równo tj. nie ściankami, ale kątami do siebie i ostatnim klockiem przyciśnij je żeby nie spadły.

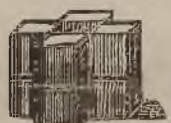

Drogowskaz.


Budka.


Lokomotywa.

Widzisz tak wygląda wiejski drogowskaz. Na bocznych tabliczkach jest wypisane dokąd prowadzą dwie drogi, które tu się krzyżują.

Niedaleko domku była studnia. Ty Janusiu z pewnością potrafisz zrobić studnię. Weź cztery klocki, utaw je kątami do siebie w kwadracik, drugie cztery w taki sam kwadracik, ustaw na nich. Widzisz jaka ładna studnia.


Studnia.


Koryto.


Tunel.

— A teraz ja sam zrobię schody, zawołał Edzio i ustawił śliczne schodki z klocków.

— A ja wybuduję lokomotywę, którą wujaszek wracał do Lwowa! — zawołała Janusia i przyciągając klocki do siebie zgrabnie lokomotywę ustawiła.

Gdy tak dzieci z wujaszkiem zabawiały się, schodziły właśnie dzieci z pierwszego piętra na przechadzkę; przestanęły chwilę przed okienkiem i bardzo ciekawie przypatrywały się, co Edzio i Janusia robią. Mamusia zobaczywszy dzieci stojące za oknem wyszła i zaprosiła je do pokoju. Toż to dopiero kostki przechodziły z rąk do rąk. Każde dziecko budowało coś innego. Jadzia z 1-go piętra zrobiła z klocków wygodne krzesełko dla lalki.

Janusia miała nie tylko podarek ale nawet gości na urodzinkach. Długo bawiły się dzieci układały przedmioty i gwiazdeczki rozmaite. Romuś odkrył z prawdziwą radością, że i one mogą się tak bawić, bo mają stare klocki do składania, z których pozdzierane są już obrazki.

— Rzeczywiście rzekł wujaszek, takimi klockami zupełnie tak samo bawić się można, tylko zwracam wam uwagę na to, byście starali się budowli waszych nie burzyć, ale jedną na drugą przerabiać.

Klocki takie wymyślił pan Frebel, który bardzo kochał małe dzieci.

## Jedzie, jedzie pociąg...



Sz! sz! sz! jedzie lokomotywa! W lokomotywie jest ogromny kocioł, w którym gotuje się woda. Para z tej wody popycha sztabę, sztaba popycha koła — tak jedzie lokomotywa.

— Sz! Sz! lokomotywa ciągnie za sobą dużo wagonów.

W najpierwszym wagonie jest bardzo dużo węgli. Maszynista dokłada ciągle węgli pod kocioł lokomotywy, aby się woda dobrze gotowała.

W innych wagonach siedzą ludzie, tatusiowie i mamusie, ciocie i wujciowie różnych dzieci.

Jeden wagon wozi ich pakunki, kufry i kuferki, kosze i skrzynie.

W innych wagonach zwozi się zboże z pola do młyna i mąkę z młyna do piekarni. Papier i drzewo, nafta i zapałki jadą w innych wagonach.

Jedzie także wagon pocztowy i wozi dużo listów i paczek do rozmaitych ludzi i rozmaitych dzieci.

W tym wagonie jedzie „Promyk" do swoich czytelników.

Sz! Sz! już lokomotywa zajechała na stacyę — i „Promyk" już przyjechał.

*B.*

## DZIĘCIOŁ I ŻABKA.

Siedzi wśród trawki żabeczka mała,
Śliczniutka bardzo — zielona cała!
Siedzi i patrzy — wciąż się dziwuje,
Że dzięcioł w drzewo bez końca kuje.
— Panie dzięciole — żabka powiada —
Czemu tak stukasz? wiedzieć bym rada,
Tyle hałasu robisz ty w lesie,
Echo stukanie twoje w dal niesie?
Na to odpowie jej dzięcioł z drzewa:
— Niechaj cię żabko hałas nie gniewa,
Bo ja szkodliwe tępię robaki,
Które się drzewu dają we znaki.
— Jakiż ty dobry, żabka odpowie,
Że tak o drzewa troszczysz się zdrowie.
Na to jej dzięcioł z góry zaśpiewa:
— Łączę swą korzyść z korzyścią drzewa,
Bo tem robactwem, co drzewo psuje
Karmi się dzięcioł, dla tego kuje.

Wydawc. i odpow. redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.** Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Lindego l. 8.